

kryzysu narutowego, tempo jego polepszenia na pewno zmalało w

4790

Związku Sowieckim i w innych

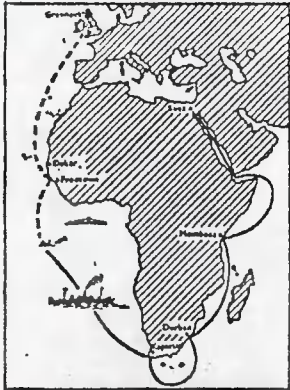
W zastaw poszła Jesionka

Ipswich

F. W. Śmieszalski

TADÉUSZ WALCZAK

ZE ZSYŁKI NA LAONIE



Trasa Łańcut

Miałem 15 lat gdy zostałem wraz z rodziną wywieziony na zsyłkę do Sowiec.

10 lutego 1940 roku, o godzinie 4 rano, zostaliśmy zbudzeni głośnieym stukaniem i okrzykami „zbierajcie się z rzeczami, wyjazd za godzinę”. Rodzina moja składała się z 6 osób. Matki Adeli, ojca Adama, osadnika wojskowego, biorącego udział w wojnie przeciw bolszewikom w roku 1920. Siostra Felicja miała wtedy 13 lat, brat Antoni 10 i brat Zbigniew 6 lat.

RODZINA OSADNIKÓW

Ojciec prowadził gospodarstwo rolne na 12 hektarach. Mieszkaliśmy na Wołyniu w osadzie o starej nazwie Iwanówka, później przemianowanej na Janówka. Osada powstała na dobrach ziemskich rozparcelowanych po pierwszej wojnie światowej, tak zresztą jak w wielu innych miejscowościach wschodniej Polski. Osadnicy zaczęli z gołymi rękami, dostawali małe pożyczki na budulec, narzędzia, na trzodę chlewną, na konie. Były to czasy pionierskie bo trzeba było zaczynać z niczego, a wielu nie miało pojęcia o rolnictwie, a na pewno nie mieli go osadnicy oficerowie służby stałej. Ojciec mój wzenił się w rodzinę Stranców z pobliskiej Julianówki, polskiej wsi która przetrzymała zabory. Rodzina Stranców na Julianówce to nie była jaka rodzina, bo dziadek mój, Franciszek Stranc (psia-la-la), miał małe gospodarstwo około 15 ha, ale za

to czternaścioro dzieci. Wychowywał dzieci po polsku i prawdziwie po spartańsku. Matka moja była najstarsza, i tak jak ona wyszła za osadnika, tak następne dwie siostry wyszły też za osadników wojskowych. Wiktoria wyszła za Grylickiego na osadzie Rejtanów, blisko Olyki, a Antonina za Huszcę na Bortnicy koło Dubna. Wiele lat tartowało się w rodzinie jak to mój ojciec nie zaczynał z niczego, bo żona dostała w posagu jałówkę i coś z urządzeń domowych.

Na pewno nie było lekko, ale od czasów które ja pamiętam zabudowania były dobre, a więc dom, stodoła, stajnia, studnia, sad prawie na 2 hektarach. I chociaż 12 hektarów to nie wystarcza aby żyć dostatnio, sad dawał ojcu dodatkowe dochody, a poza tym ojciec był specem od szczepienia drzew owocowych, więc jeździł po okolicy, uczył osadników szczepienia. Poza tym zbudował piwnicę, w której owoce trzymały się do wiosny. Inni, jak on początkowo, sprzedawali owoce na pniu kupcom żydom, po bardzo niskiej cenie. W gospodarstwie pomagał parobek i dziewczyna. Zawsze mieliśmy 2 — 3 konie, kilka krów, świnię, drób. W sadzie były różne owoce, a więc różnego gatunku jabłka (jeszcze dziś pamiętam smak papierówek i renat), gruszki, śliwki, czereśnie, wiśnie, a między drzewami rosły truskawki, poziomki, jeżyny.

Wiosną, latem i w jesieni to wytężona praca, w zimie długie wieczory spędzane na głośnieym czytaniu książek, opowiadań, odwiedzanie sąsiadów. Przed spaniem, a szczególnie w niedzielę, odmawianie godzinek.

Na osadzie mieszkało kilkanaście rodzin osadników, a więc: Lachowicz (pik przebywający we Lwowie, profesor), a gospodarzką zajmował się Bobrowski z rodziną, Urban, Józefowski, Wójs, Borowiec (dwóch braci na osobnych osadach), Bomba, Kaczorowski (pułkownik), Kaftan, Górski, Kotula, Sułkowski. Wymienię również niektórych osadników z pobliskiej osady Bortnicy, a więc: Smoleński, Wypijewski, Huszcza, Idkowiak, Morlewski, Swirski, Ziętek, Brzychcy, Dembiński, Krasieński, Czerkawski, Walkowiak. Wszystkie te rodziny zostały wywiezione do Sowiec. Wymieniam te nazwiska dlatego, aby uwypuklić jak dokładnie Sowieci oczyszczali całe wioski, całe tereny z ludności polskiej.

Dzień 10 lutego 1940 roku był dniem pamiętnym nie tylko dla mnie, nie tylko dla osadników z Janówki czy Bortnicy, ale dla przeszło miliona Polaków z całej wschodniej Polski. A ilu ich zginęło w łagrach, ilu zmarło już po „amnestii”, a ilu jeszcze tam zostało? Dokładnej liczby chyba nikt nie ustalił.

WARTOŚCIOWY ELEMENT

Na Janówce była szkoła powszechna 4-klasowa, prawie 2 kilometry oddalona od domu, do której chodziłem piechotą, a zimę jeździłem do szkoły na nartach. Klasę 5 i 6 ukończyłem w Kłynowie nad Ikwą, miasteczku około 10 kilometrów od mojej osady, a dalszą naukę odbywałem w gimnazjum osadniczym w Równem. Było to całkowicie nowe gimnazjum, położone obok gimnazjum państwowego, niedaleko Targów Wołyńskich. Bursa dla chłopców mieściła się przy gimnazjum osadniczym, a żeńska obok stacji kolejowej.

Nowe budynki szkolne i internat — wszystko zbudowane zostało ze składek osadników wojskowych. Podobne gimnazja i internaty istniały w Łucku, Nowogródku i Wilnie. Osadnicy w większości pochodzili z woj. poznańskiego, krakowskiego, lubelskiego i byli osiedlani na Wołyniu, Tarnopolskiem, Nowogródkiem i Wileńszczyzną w nagrodę za czyny bojowe, ale również w celu zbalansowania układu ludności, bo tak np. na Wołyniu po pierwszej wojnie światowej większość stanowili Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i Czesi. Zwiększenie ludności było również planowane w celu wzmocnienia obronności od wschodniego sąsiada. Osadnicy prawie do wybuchu II wojny światowej jeździli na ćwiczenia i manewry wojskowe. Ojciec mój miał przydział do 43. pułku stacjonującego w Dubnie.

Osadnicy mieli również być przykładem czy trzonem reformy rolnej i usprawnienia rolnictwa. Tworzyły się spółdzielnie mleczarskie, spółdzielnie rolnicze, działały kółka rolnicze i tak jak na początku żniwa zbierano sierpem i kosą, a siew odbywał się ręką, to przed samą wojną ojciec wypożyczał maszyny, wiązalki, siewniki itd.

Osadnicy byli to element młody, zdrowy, patriotyczny i w takim duchu wychowywały się ich dzieci. Wierzyliśmy, że Polska jest silna, gotowa. Pamiętam pierwszą wiadomość o wojnie, ten szok, zdanie sobie sprawy, że skończyło się normalne życie, a po paru dniach uświadomienie sobie, że wojna przegrana i to tak szybko. Drugi szok, to wtargnięcie, 17 września do wschodniej Polski wojsk sowieckich i ich przemarsz na zachód aż do Bugu. Widok czołgów, pojazdów sowieckich, żołnierzy sowieckich przerażał. Co dzień, gdzieś od 5 września 1939 roku, do osad naszych zaczęli napływać uciekinierzy. Niektórzy przyjeżdżali na furmankach, bryczkach, a część przychodziła piechotą z najbliższych stacji kolejowych, przeważnie z Dubna.

(Ciąg dalszy nastąpi)

* Grylicki

ZE ISYKI NA LACONIE

WYWOZKA DO SOWIETÓW

Po 17 września zdaliśmy sobie sprawę, że to nowy rozbiór Polski. Wszyscy ci uciekinierzy, po wejściu Sowieców, wracali przeważnie do swoich domów na zachodzie Polski. Był to dopiero początek tej wędrówki milionów Polaków, wędrówek, ucieczek przed ukcją wojenną i najeźdźcą, a potem wywozki, łapanki.

Muszę wrócić jeszcze do tego pamiętnego ranka, do domu, który wyglądał jak miejsce skazania, nie dom rodzinny. Ucoił się płacz matki, młodszych dzieci. Pytania gdzie jedziemy, na jak długo, co zabrać? Na to nikt nie mógł odpowiedzieć.

Zabieramy ciepłe ubrania, pierzyny, poduszki, przedmioty do gotowania, dokumenty, zdjęcia. Ja zabieram swoje świadectwa, jakieś książki, zeszyty (po co?). Cała szóstka zostaje załadowana na sanie.

Jak się zagna dam rodzinny w takiej sytuacji? Ojciec zagna się znakiem krzyża i każe robić to nam wszystkim. Później sam chwytając za lece, krzyczy „wio!” i jedziemy. Na saniach jadą z nami dwaj strażnicy z karabinami i czerwonymi gwiazdami na naramiennikach. Po drodze spotykamy innych osadników wojskowych, też na swoich saniach, swoimi końmi...

Ja na taką wędrówkę wyjechałem z rodziną 10 lutego 1940 roku. Wyjechałem, bo do Zdobunowa, dużego węzła kolejowego, gdzie był przeładunek wagonów z węgla polskich na szerokie sowieckie koła wyjechałszy naszymi własnymi saniami, naszymi końmi. Co później się stało z końmi i saniami nie wiem.

W Zdobunowie byliśmy rano. Przed wagonami spotykamy naszą rodzinę z Julianówką: Strancowie i Przanowscy. Wieść rozeszła się po okolicy o wywozie osadników, urzędników państwowych, oficerów, policjantów. Kraj został prawie оголоzony. Rodzina przywoziła nam trochę mąki, słoniny, chleba.

TYGODNIEM W WAGONIE

W Zdobunowie szybko załadowanie do wagonów towarowych. W środku, naprzeciw drzwi, wolna przestrzeń, po lewej i prawej stronie prycze na frzech, posłomach. Miejsca między pryczami tak mało, że najwyższą można na deskach usiąść. Ciśno, bo większość przyjechała swoim transportem, więc rzeczy dużo (całe szczęście — te właśnie rzeczy utrzymały wielu przy życiu).

Ale o tym jak będzie wyglądała jazda nikt na razie nie myśli. Przed wagonami jeszcze czeka rodzina, znajomi. Ostatnie pożegnania. Widzę lzy na twarzach Stanisława Stranca, Władysława Stranca (żyją), Bolesława Stranca, Kazimierza Stranca (później zamordowanego wraz z siostrą Lucyną przez Ukraińców), wszyscy bracia mojej mamy i Józefa Przanowskiego ożenionego z Heleną Stranc. Żalują oni, że tak mało rzeczy nam przywieźli, ale nie wiedzieli czy nawet to co wieźli będzie można przekazać. Oprócz nas zaopatrzyli także rodzinę Huszców i Morlewskich z Bortnicy.

Nikt nie wie gdzie jedziemy. Z wagonów prawie nic nie widać, chyba że przez szpary. Wszyscy stłoczeni, dorośli, dzieci; ciśnie, duszno, zimno. Nie ma gdzie gotować. Tylko na stacjach można wyjść delegowanym po gotowaną wodę, kłopotek. Wagon, który widzieliśmy w filmie „Dr Żiwago” to luksus. Nie byliśmy głodni, ale z biegiem czasu byliśmy coraz brudniejsi. Nie było toalety, krępowano się początkowo, a więc zrobiono prowizoryczną. W podłodze była dziura, a zasłony zrobiono z koca.

W czasie tej podróży nie było mowy aby wyjść na jakiejś stacji czy nawet na pole. A pociąg zatrzymywał się często, czy na stacjach, czy w pustym polu. Zima w 1940 roku była szczególnie sroga i długa i gdyby nie to, że mieliśmy z sobą ciepłą pościel i ubrania, mogłyby być wypadki zamrznięcia.

Jedliśmy długo, parę tygodni. Jednej nocy mijamy duże miasto, widać dużo świateł. Mówią, że to był Kirow, a więc jedziemy na północ czy na północny wschód.

PRACA W POSIOŁKU

Wyładowano nas wszystkich w Kottasie, ostatnie miasto na północ na trasie kolejowej w archangielskiej oblasti. Teraz Kottas to duże miasto o prawie 100.000 mieszkańców z lotniskiem, fabrykami, przemysłem celulozowym itd. W 1940 roku ludność liczyła 16.000. Ale już wtedy był to punkt przeładunkowy drzewa, tartaki, magazyny.

W Kottasie przeładowano nas na sanie i kilkudniowa jazda do osady Jeluga, nad rzeką Jeluga, wpadającą do Jorgi, a ta z kolei do Dwiny; Jeluga to posiołek składający się z baraków drewnianych, zbudowanych przez zesłańców z Białorusi i Ukrainy w latach dwudziestych i trzydziestych. Oprócz baraków laźnia i duży budynek służący za biuro, sklep, szkołę, skład itd. Baraki z obrzymi piecami pośrodku. Wzdłuż ścian prycze drewniane, każda 2 na 3 metry. Na takiej jednej pryczy, przez półtora roku mieszkała cała moja rodzina składająca się z 6 osób. I ta prycza to

był cały nasz dom. Tam się spało, jadło, tam był skład wszystkich rzeczy. W barakach było ciepło, bo drzewa nie brakowało. W naszym baraku mieszkali rodziny: Wójs, Sulkowski, Urban, Bortniczak (teńniczy), Dąbrowski (gajowy), Gołębiowski (gajowy), DREWNIAK, Kalinowski, Froniewicz. Na sąsiednim posiołku, Uśc Zaruba nad rzeką Jorga, dopływ Dwiny mieszkali: Morlewski, Huszcza, Idkowiak, Smoleński, wszyscy z Bortnicy, Gązda z Krańcy blisko Dubna.

Po kilku dniach odpoczynku: do pracy, do lesozagatki, czyli do lesoróbki, a więc mężczyźni do ścinania drzew i układania drzewa w stosy nad brzegiem Jelugi, kobiety i młodzież do obcinania gałęzi. Ja prawie przez cały czas miałem konia i swardłem tym koniem bełę nad rzekę. Latem drzewo szło spławem wzdłuż Dwiny do Archangielska. Zima w tych okolicach trwała tylko 8 lub 9 miesięcy, a reszta to lato. Ale nie wiadomo co było lepsze, sucha zima czy też biotnista i pełne komarów lato.

Praca zaczynała się podemku; kilkukilometrowy spacer do miejsca pracy 6 dni w tygodniu, a często 7, jak brakowało do wykonywania planu. Do pracy brało się kanapki i kłopotek. Wieczorem można było dostać zupę i dostawało się chleb na dzień następny. W mojej rodzinie pracował ojciec i ja regularnie. Matka pracowała w posiołku, a latem na zbieraniu jarzyn i grzybów, a poza tym opiekowała się synem Zbyszkiem. Do szkoły chodzili siostra i brat.

Na żadne rozrywki czy inne zajęcia nie było czasu, bo praca i praca i tylko praca. Wciąż nam wmawiano: nie pracujesz nie będziesz miał co jeść.

Komendantem obozu był partyjny Rosjanin o nazwisku Pierogow, kierownikiem prac w lesie był Sławecki. Pochodził on z rodziny polskiej, z Białorusi wywiezionej z wieloma innymi Polakami w latach międzywojennych. To właśnie te rodziny budowały posiołki takie jak Jeluga czy Uśc Zaruba. Był już na świecie około 20 lat i zwątpił czy kiedykolwiek zobaczy coś innego, czy będą mogli powrócić do swoich domów. My nie dawaliśmy za wygraną i twierdziliśmy, że wrócimy do Polski. Pan Sławecki na to miał standardową odpowiedź. Mówił: „Jak rzeka Dwina zmieni swój bieg na południe, tak wy powrócicie do swoich domów”. Pan Sławecki ciekawy był Polski. Opowiadaliśmy mu o życiu w wolnej, niepodległej Polsce. Nic o tym nie wiedział. Do nie miał się gdzie dowiedzieć. Żadne gazety oprócz „Izwiestii” czy „Prawdy” na zwykłą nie dochodziły.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ZE ZSYŁKI NA LACONIĘ

Pan Sławewski musiał wypełniać normy narzucone z góry, ale miał szczególne względy dla młodzieży. Dopisywał nam do norm. A wykonanie norm było ważne, bo od tego zależał przydział chleba, innej żywności, przydział walonek (wojłokowe buty), fufajek (ciepłych kaftanów). Pomimo ciężkiej pracy i warunków mieszkaniowych moja rodzina nie była w tym okresie głodna. Mieliśmy ze sobą zapasy, a poza tym dostawaliśmy od czasu do czasu paczki żywnościowe od dziadków Stranców i wuja Przanowskiego. Te paczki to było prawdziwe zbawienie — słonina, smalec, boczek, cukier, miód. Ci, którzy paczek nie dostawali mieli bardzo ciężko.

Oprócz długich rozmów wieczorami, śpiewano pieśni religijne, a w maju odbywały się nabożeństwa majowe.

AMNESTIA I WYMARSZ

O świcie było głucho, żadnych gazet, żadnego radia. Aż pewnego dnia, w czerwcu 1941 roku, pan Sławewski przynosił Izwiestia i pokazuje nam na pierwszej stronie artykuł o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. W obozie od razu szum, od razu ruch. Pan Sławewski przyznaje, że sytuacja się zmieniła, sam oczekuje lada dzień powołania do wojska. Starali naradzają się co robić. Z obozu nie wypuszczają, każą dalej pracować.

W sierpniu dowiadujemy się o amnestii dla Polaków, o tworzeniu się armii polskiej. Ojciec i kilku innych mężczyzn opuszcza Jelugę we wrześniu 1941 roku i ma nas później powiadomić dokąd mamy jechać i gdzie go spotkać. Niestety, żadne wiadomości nie przychodziły. Władze w posiołku już mogły zwalniać i wydawały odpowiednie dokumenty.

W listopadzie 1941 roku wyruszamy z rodziną, tzn. matka, ja, siostra i dwaj bracia — już w piątkę, do Kotłasu. Ale nie podstawiają nam sań, nie pilnują naszej trasy. W podróż wybraliśmy się na piechotę z małymi sankami, na których jedzie mój najmłodszy brat, Zbigniew, teraz lat 7 i reszta naszych rzeczy.

Idziemy parę kilometrów dziennie, na noc zatrzymujemy się albo w podobnych posiołkach jak nasz, albo w starych wioskach. Zawsze znaleźliśmy dom, który nas przenocował, czy w kuchni, czy odstąpił trochę swego miejsca, na zapiecku. Niektórzy jeszcze nas częstowali kartoflami, kaszą czy zupą, ale tym naszym gospodarzom też się nie przelewało.

Wreszcie dochodzimy do Kotłasu. W Kotłasiście istne piekło. Tysiące ludzi napływają z różnych stron. Wszyscy czekają na transport na południe, tam gdzie się tworzy polskie wojsko. Jest polskie biuro czy misja, ale nie ma mowy o pomocy. Radzą zająć się na własną rękę zdobyciem mieszkania, jedzenia, transportu na południe. Spotkani znajomi ostrzegają aby pilnować swoich rzeczy, bo chodzi wokół mnóstwo złodziei, czy Rosjan, którzy uciekli z obozów, czy Polaków, którzy tu już są dłużej i bez środków do życia.

Pomaga nam pokwitowanie z Jelugi, że ojciec pojechał do wojska i dostajemy się w końcu na transport na południe Rosji. Bilety musimy kupić sami. Pieniądze dostaliśmy zaczynając wyprzedaż osobistych rzeczy. Mówią, że zorganizowane życie polskie znajdziemy w okolicach Taszkontu i Samarkandy.

JEDZIEMY NA POŁUDNIE

Znajdujemy miejsce w wagonie towarowym. Wszystko poobijane, prymitywne, ale trochę więcej miejsca niż w czasie jazdy do Kotłasu. Transport składał się z kilkunastu wagonów. W czasie podróży część wagonów odczepiono i dołączono do innych transportów. Np. wagon z moim wujostwem Grylickimi odczepiono gdzieś w połowie drogi. Jedziemy na południe, robi się coraz cieplej, ale coraz gorzej z żywnością. Nasze zapasy już się wyczerpały, a kupić coś to prawie niemożliwość. Od czasu do czasu udaje się nam dostać przydział chleba na nasze przepustki, ale to rzadkość. I tak żyjemy prawie na chlebnie, sucharach, naparach z suszonych malin i czarnych jagód oraz kłopotku. Nie ma mowy o kupieniu mleka czy nabiału, a przecież mamy ze sobą dziecko. Nasz 7-letni Zbyszek wygląda coraz bardziej bielszy; posmutniał, nie go nie bawi, nie chce wyglądać z wagonu, ginie w oczach. Transport jedzie już paręnaście dni, wszędzie brud, zaczynamy mieć wazy wazy, chodzą pogłoski o zachorowaniach na tyfus. Martwimy się o Zbyszka, dostajemy mu jakoś żywność, ale on już nawet jeść nie chce.

Przed Taszkontem, w małej miejscowości, kazano nam opuścić wagony i skierować nas do czajkany. Czekaliśmy na następny transport. Zbyszek wciąż chory. Nie było mowy o znalezieniu lekarza czy szpitala. I w tej nieznanej miejscowości, w jakimś czajkanie, jednej nocy umiera Zbyszek. Zanosimy go z mamą na noszach do przychodni i miejscowe władze miały go pogrzebać. Nam nie wolno brać w tym udziału. Tamże spotykamy wujka Grylickiego, który tymczasem dołączył do naszego transportu. Jego starsza córka, Stasia, też zmarła w podróży i też musiał ją zostawić.

W dwa tygodnie później jedziemy dalej. Coraz cieplej. Na postojach wychodzimy z wagonów, zdejmujemy koszule, bijemy wazy. Na

stacyjkach można coś kupić lub zamienić na lepsozki. Sprzedajemy swoje cieplejsze rzeczy. Trudno jest dziś ustalić trasę, bo pociągi zmieniały trasę i często wracały i później jechały inną linią. Przejżdżaliśmy jednak przez następujące główne miasta: Kotłas, Kirów, Perw, Swierdlowak, Czajłabińsk, Karaganda, Taszkont, niedaleko Dojeżdżamy do Uzbekistanu, ale zamiast skierowania do obozów, przy wojsku, skierowują nas do kolchozu, Kenimech, niedaleko Kattakurgań.

Był to kolchoz hodowli bawełny. O żywność tu też tak trudno jak w czasie drogi, czy na północy. Dostajemy mieszkanie w jakiejś lepiance, bez mebli, śpiemy na ziemi. Inne rodziny polskie znajdują się tutaj i w pobliskich kolchozach. Gonią nas do pracy na pola bawełniane. Placa prawie żadna, jedzenie głodowe. Słychać o coraz częstszych kradzieżach. Nam zabiera ktoś ostatnią walizkę. Nic już tam nie było wartościowego, ale były tam dokumenty, fotografie, metryki urodzeń, ślubów. Tego nikt nie zwrócił i tak musimy już później polegać na zaświadczeniach.

TYFUS I 7 DYWIZJA

Zdarzają się coraz częściej zachorowania na tyfus. Tyfus przechodzi moja matka i siostra. Po ich wyzdrowieniu ja wyruszam do Kermine (teraz Nowoj) aby zaciągnąć się do wojska. Chociaż nie mam 18 lat zostaję przyjęty do 7 Dywizji Piechoty. Dostaję umundurowanie i zaczynam przechodzić przeszkolenie. W czasie jednej ze zbiorów padam na ziemię i odzyskuję przytomność dopiero w szpitalu. Tak często zaczynał się tyfus.

Już po wyzdrowieniu spotykam w Kermine matkę. Na mój widok w mundurze wojskowym szczerze się rozplakała.

Przyjechała tu aby mnie odnaleźć i dowiedzieć się o wyjeździe do Peraji, bo wiadomość o tym rozeszła się po polskich rodzinach. Ja wyjeżdżam z Kermine 28 marca 42 roku, matka z siostrą i bratem w kwietniu przez Krasnowodsk do Pahlewi w Peraji.

W Kermine tworzyła się 7 Dywizja; tam później zaczęły ścierać rodziny w przygotowaniu na wyjazd. Tam tysiące ludzi dotarło ostatkiem sił. Tam ludzie, którzy się ledwo dowlekli, zapadali na różne choroby: żółtaczkę, chorobę żołądkową, a najczęściej na tyfus. Początkowo grzebano w indywidualnych grobach, później w obrzucanych grobach ogólnych. Do dziś tkwią mi w pamięci korowody furmanek pełnych trupów, czy też członków rodzin, czy znajomych niosących swoich bliskich na noszach do tych grobów. Tam powinien stać kiedyś pomnik „Nieznanego Polaka”.

(Dalszy ciąg nastąpi)

TADEUSZ WALCZAK

(4)

ZE ZSYŁKI NA LACONIE

DALSZE LOSY ZESŁAŃCÓW

Na pewno o każdej rodzinie, którą wymienilem można by napisać książkę, a chociażby wspomnienie. W bardzo telegraficznym stylu podaję trochę danych o mojej rodzinie i znajomych.

Moja matka z siostrą wyjechały z Persji do Tanganiki, gdzie przebywały w obozie dla rodzin wojskowych do roku 1947. Brat przebywał do roku 1945 w Palestynie w szkole junaków. Ojciec zmarł w Anglii w 1946 roku, a matka w 1947 roku. Siostra mieszka w Londynie, a brat mieszka w Walli.

Wujostwo Gryliczy (już oboje zmarli) przybyli z córką Antoniną do Anglii; córkę Stasię stracili w Sowietach. Z rodziny Huszców został tylko syn, Bronisław; mieszka w Luton; ojciec zmarł w Sowietach; matka niedawno w Anglii, a brat Antoni zginął pod Monte Cassino. Największe straty w mojej rodzinie przypadły wujostwu Morlewskim, z Bortnicy koło Dubna. Trzech synów: Longin, Józef i Stanisław zmarli na zycie, a czwarty syn, Zbigniew, przebywa z rodzicami w Londynie.

Rodzina Lachowiczów została wywieziona na zsyłkę ze Lwowa. Do Anglii przyjechali Olga Lachowicz z synami Zbigniewem i Stefanem. Stefan Lachowicz mieszka w Tonbridge Wells, a matka i brat Stefan zmarli w Anglii.

W Anglii osiedliły się następujące rodziny: Wójsowie, Sułkowsy, Smoleńscy, Idkowiakowie, Swiracy, Urbanowie, Józefowski prosta z Włoch wrócił do Polski. Wypijewscy i Brzychcy osiedlili się w Stanach Zjednoczonych; Paweł Borowiec, jedyny syn Franciszka Borowca, mieszka w Argentynie. Z sześciu rodzeństwa Wawrzyńca Borowca ocalała z Sowietów jedynie jedna córka; mieszkała w czasie wojny z matką w Tanganice, potem wyszła za mąż za Francuza, a jej matka wróciła do Polski. Bobrowskiego, który prowadził osadę pp. Lachowiczów, zamordowali Ukraińcy, a reszta rodziny mieszka w Polsce. Bomba z Janówki nie zdołał wyjechać z Sowietów z armią gen. Andersa, walczył w Dywizji Kościuszkowskiej i zginął pod Warszawą; reszta rodziny mieszka w woj. szczecińskim.

Powyższe dane to oczywiście tylko migawki; nie znam losów wszystkich wywiezionych ze mną w lutym 1940 roku, ale chyba to już wystarczy aby zdać sobie sprawę ze strat poniesionych prawie przez każdą rodzinę i mieć pojęcie o tej naszej polskiej poniewierce.

Podobne gehenny, z mniejszymi lub większymi stratami, poniosły tysiące innych rodzin wywiezionych do Sowietów w czasie ostatniej wojny.

NAMIOTY W PŁD. AFRYCE

Jak już wspomniałem, w Kermine wstępuję do wojska, do 7 Dywizji Piechoty, przeżywam tyfus i później przez Krasnowodsk, Pa-

hlewi, Irak, Palestynę, Egipt, ląduję w Południowej Afryce, w Pietermaritzburgu, gdzie znalazło się około 4 tysięcy polskiego żołnierza, prawie wszyscy ocaleli z zsyłki w Sowietach. Pobyt mój trwał tam od 1 lipca do 26 sierpnia 1942 roku.

Już w Palestynie z obozu rekonwalescentów, po wstępnym egzaminie, dołączyłem do 1 kompanii Szkoły Podchorążych 8 dywizji piechoty, utworzonej jeszcze w Teheranie. Potem krótki pobyt w Egipcie i wyjazd olbrzymim statkiem pasażerskim „Mauretania” do Durbanu.

Obóz Paddock Camp, położony o 2 mile od Pietermaritzburga, to było miasto setek namiotów. Podzielony na rejony, jednostki oddzielone miedziami z białych kamyków, przed wejściami do dowództw pułków czy batalionów dekoracje z kamieni i ziemi przedstawiające mapy Polski, orły, odznaki dywizyjne itd. Wszędzie flagi biało-czerwone i angielskie. Zapowiedziano dłuższy postój, toteż wszędzie panował wspaniały porządek, wzorowa czystość. Życie pod namiotami, ale już ustabilizowane, o regularnych zajęciach. Tych kilka tysięcy to żołnierze różnego wieku, z różnych zawodów, z różnych jednostek bojowych, lub jak ja — nowicjusze. Ci żołnierze mieli uzupełnić w Anglii nowe lotnictwo, marynarkę i armię lądową. Oni, wraz z żołnierzami przybyłymi wcześniej z Francji i z innych krajów świata, uzupełnili między innymi I korpus i wielu z nich znalazło się w I Dywizji gen. Maczka.

W Paddock Camp odbywało swoją musztrę około 100 podchorążych pod dowództwem podporucznika Zbigniewa Groszka, starszego sierżanta Jana Muchy, kaprała Darakiego i innych podoficerów. Tam podchorążowie uczyli się składania karabinów (było ich kilka na całą kompanię) steganów, strzelania itp. Zapoznawali się na wykładach (ppor. Z. Groszek był ppor. lotnictwa, ale mieliśmy wykładowców z innych oddziałów) z nowymi metodami wojny, współdziałanie lotnictwa i broni pancernej. Byli przygotowani do pełnego kursu podchorążych w Anglii, do walk piechoty, w zupełnie innych warunkach.

Dnie były słoneczne, ciepłe, łagodne, za to wieczory i noce chłodne bo przecież był to tam okres zimowy. Wieczory i weekendy spędzaliśmy w mieście, u gościnnych gospodarzy. W niedziele, po połowej mazy św., czekały już liczne samochody i ich właściciele, lub właścicielki, zawoziły nas do swoich domów, do swoich rodzin. Wszyscy po pierwszej tygodniu mieli swoich opiekunów, swój przybrany dom. Mogliśmy wreszcie zaznać normalnego życia rodzinnego, bo o tym nie można było marzyć ani na dwuletniej tułaczce w Sowietach, ani w krajach Bliźniwego Wschodu.

Polscy wojsacy byli szczerze żegnani, za wieloma dziewczętami do Durbanu lub Kapsztadu skąd poszczególne partie żołnierzy wyjeżdżały do Anglii.

Pobyt w Płd. Afryce przywrócił nam siły fizyczne, dał odprężenie i przygotował do dalszych trudów, do dalszej wędrówki. Te letnie, a raczej zimowe miesiące roku 1942, nie obfitowały w dobre wiadomości. Niemcy jeszcze trzymali się dobrze w Sowietach, byli panami prawie całej Europy, jeszcze nie przegrali wojny w pół-

nocnej Afryce, grasowali bezkarnie na zachodnim Atlantyku. Już przyjazd nas wszystkich do Afryki Południowej, na „Mauretanię”, okręcie o wielkiej szybkości i uzbrojeniu, na trasie Morze Czerwone-Durban, nie odbył się bez alarmów, bez możliwości storpedowania przez podwodne łodzie niemieckie i włoskie (na „Mauretanię” jechała cała grupa ulokowana w Pietermaritzburgu).

Najbardziej jednak niebezpieczna była trasa do Anglii. Wprawdzie oficjalne komunikaty nie podawały dokładnych danych o storpedowaniach całych konwojów, czy pojedynczych okrętów, ale chodziły o tym opowieści — wiadomości od marynarzy. Straty floty alianckiej, a właściwie wtedy angielskiej, były olbrzymie; a więc: niemieckie łodzie podwodne zatopiły w roku 1942 na Atlantyku 1172 okręty o łącznej pojemności brutto 6150 340 RT. A straty przez 6 lat wojny wyniosły 3837 statków o pojemności brutto 18.693.300 RT. Były to straty olbrzymie. Alianci natomiast zatopili w sumie 646 łodzi podwodnych niemieckich i 9 włoskich.

Kompania Szkoły Podchorążych wyjechała w drugiej połowie sierpnia do Durbanu i dopiero tam powiadomiono nas, że pojedziemy do Anglii „Laconią”, statkiem Cunard Line o pojemności 19.695 ton. Statek ten przyplynał z Suez. Używany był regularnie, od początku wojny, do transportowania żołnierzy i ich rodzin na trasie Liverpool-Kapsztad-Suez.

ZAŁADOWANIE NA LACONIE



Laconia przywoziła z Anglii do Suez, w sierpniu 1942 r., około 3.000 żołnierzy, a w drodze powrotnej załadowano na nią 460 osób załogi, 1.800 jeńców włoskich, wziętych do niewoli pod El Alamein, a reszta to żołnierze ranni czy jadący do Anglii na urlop oraz ich rodziny załadowane w Mombasie czy Durbanie.

(Dalszy ciąg nastąpi)